№ 31. Wilno, dnia 25 Października 1925 r. Rok I.



TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Wanda Niedziałkowska - Dobaczewska.

Jesień.

Tam za górą góreńką
siedzi Zorza z Zorzeńką
na złoconych stołeczkach. I płaczą.
Czy też jeszcze w tym roku
z za szarego obłoku
choć skraweczek błękitu zobaczą?

Te kudłate chmurzyska
i zdaleka i zbliska
pozłaziły się niczem złe smoki.
I Słoneczko pożarły!
Niebu płaszczyk podarły
aksamitny, nowiutki, szeroki!

A Deszcz w szklanem ubranku
skacze sobie po ganku!
Czy kto widział takiego psotnika?
Patrzą Dzieci przez okno:
„Jak te wróble pomokną!"
Aż tu Jesień od pola kuśtyka.

Bonifacy Wrzos.

O niezgrabnym kartoflu i pięknym bławatku.

BAJKA.

Był to sobie zwykły kartofel. Gruby, ciężki, niezgrabny i wielki. Pomiędzy licznem rodzeństwem co razem z nim rosło pod krzakiem, on był największym i w podziw wprowadzał otaczające go małe kartofelki. Przyglądały mu się ciekawie i zazdrościły wspaniałego wzrostu. On zaś rósł, pęczniał i dumnym był nad wyraz ze swej wielkości, mniemając, że już chyba większego nie znajdzie na świecie całym. Dobrze mu było pod rodzinnym krzakiem, gdzie zajmował najpierwsze miejsce, aż jednego dnia, gdy rozkoszował się ciepłym deszczykiem, co właśnie w nocy zwilżył oschłą ziemię, poczuł, że go coś bardzo mocno szturchnęło.

— A to co? zapytał.

Zamiast odpowiedzi, uczuł drugie, jeszcze silniejsze pchnięcie, tak, że stracił równowagę i aż w górę podskoczył, jednocześnie zaś usłyszał gniewny głos.

— Z drogi, ty cymbale jakiś!

— To ja cymbał, pomyślał kartofel, którego dotąd nigdy żadna obelga nie spotkała;—bardzo się obruszył i mruknął.

— Ja nie cymbał, ja kartofel i to wielki.

— O, wielki jesteś, wielki, prawdziwy zawalidroga! No, ustąp że mi się.

— Ach! zastanowił się kartofel, ja co się miałem za tak godną osobę, jestem tylko zawalidrogą?

Bardzo go to przezwisko ubodło, ale że był spokojnego ducha i nie lubił kłótni, więc usunął się na bok, do czego mu bardzo dopomogły szturchańce i popychania przeciwnika. Był nim kret paśny, w bogatem aksamitnem futrze, błyszczącem od tłuszczu. Spojrzał kartofel po sobie i zawstydził się swojej nędznej, brudnej skórki oblepionej wilgotną ziemią, a kret rył dalej swoje kretowisko i pracował z taką siłą, że aż wyrzucił całą grudkę ziemi, a przez zrobioną wyrwę nasz kartofel ujrzał światło dzien-

ne i z wielkiego zdumienia omdlał. Gdy po chwili wrócił do przytomności zaczął się rozglądać dokoła. Otaczały go same cuda, nad nim błękitniało niebo bez chmur, jasne, przezroczyste, nieskończone, a pośród nieba! Cud nad cudami — słońce. — Uczuł dobroczynne ciepło, zaraz mu skórka obsechła i zdziebełka ziemi się od niej odczepiły, czem uradował się bardzo.

— Nie jestem wprawdzie, tak pięknym jak kret, zauważył, ale przecie i moja sukienka nie ostatnia.

Chciał zawołać rodzeństwo, żeby i ono podziwiało ten prześliczny świat Boży, co się teraz przed nim ukazał, ale jak to mówią pospolicie, z wielkiego wzruszenia zapomniał języka w gębie. Patrzy nasz kartofel, patrzy i coraz nowe ukazują mu się cuda, więc złote łany zboża, przetykane pąsowemi makami, dalej szmaragdowe łąki, okolone siniejącemi lasami i tuż koło niego... przepiękny, wysmukły, giętki, chwiejący się wdzięcznie za każdym podmuchem wiatru szafirowy bławatek. Mimo słonecznego żaru, zimny dreszcz wstrząsnął kartoflem, tak go zgnębiła jego brzydota, westchnął głęboko i radby się skrył pod ziemię, ale widok ślicznego kwiatu przykuwał go do miejsca.



Bławatek zbożowy.

Bławatek, który rósł sam jeden i bardzo noska do góry podnosił, uważając się za najpiękniejszy w świecie kwiat, rad był pochwalić się przed obcymi urodzeniem i wdziękami, słysząc więc u stóp swoich westchnienie zapytał.

— Kto tu do mnie wzdycha?

— To ja, odparł nieśmiało zagadniony.

— Co za ja?

— Ja, kartofel.

— Ach to ty! pewno pochodzisz z tego pola co mnie tu otacza?

— Tak, o najcudniejszy...

Komplement, a jeszcze bardziej zachwyt z jakim był

wyrażony, podobał się bławatkowi, więc z wysokości swej łodygi ciągnął dalej.

— Pojąć nie mogę, dlaczego wam oddali taki duży szmat ziemi? Nie widzę, jaki może być z was pożytek? Wasze liście takie brzydkie, nierówne, ciężkie, bez żadnego wdzięku. Wasze kwiaty! Boże, odpuść! Kolor mają nieosobliwy, mdły zapach, kształtem do niczego nie podobne! A wasze łodygi! grube, łykowate!

— Prawda, prawda, szepnął kartofel, a w duchu dodał.

— Jaki on mądry! on wszystko zauważy!

— Ja, bławatek, jestem zupełnie co innego, moją urodą zdobię każdą bruzdę, każdy zagon...

— Ach! I jak jeszcze, dodał kartofel.

— To nie tak jak wy, co zabieracie tyle ziemi całkiem niepotrzebnie. Koło mnie nikt nie przejdzie obojętnie, bo jestem piękny. Tu potrząsnął zgrabnemi listeczkami, zakolebał się cały w lewo i w prawo, i ot tak, niby od niechcenia spójrzał na ziemię.

— Ach! Cóż to za potwór! zawołał, ty poczwaro! jak śmiesz do mnie wzdychać? Precz z moich oczu, patrzeć na ciebie nie mogę. I odwrócił się pogardliwie. Właśnie w tej chwili wysunął się z pod ziemi nasz kret, a bławatek ujrzawszy jego bogate aksamity, tłuste łapki, zgrabny ryjek, zaraz zaczął się wdzięczyć, kołysać, pochylać, krygować, wachlując się listeczkami.

Cóż z tego? Kret był na wszystko ślepy, wcale tych zalotów nie widział, tylko rył sobie zapamiętale i ślicznemu bławatkowi podciął korzonki. Zmarniał kwiatek i jak chwast nieużyteczny wyrzucony został. Kartofel zaś, doczekał się wielkiej chwały, bo gdy przyszło kopanie i z pod krzaka wydobyto olbrzyma, zaraz go mały Józiek zaniósł do pani nauczycielki do szkoły, żeby się pochwalić jakie ogromne kartofle hoduje jego tatuś. Wszyscy podziwiali wielkość i wagę tego niezwykłego okazu, a pani powiedziała dzieciom, że kartofle to są wielcy podróżnicy. Pochodzą z Ameryki, skąd przed 150 laty przywiózł je francuz Parmentier. Przepłynęły ocean Atlantycki by się dostać do Europy. Z Francji rozeszły się po całym świecie, zawitały i do nas, do Polski, upodobały sobie tu ziemię i w całym kraju naszym obficie rosną.

— Wiecie sami, kończyła nauczycielka, jak smaczne są kartofle. Znajdują się wszędzie, w pałacach bogatych ludzi i w najuboższych chałupach. Dla kraju naszego stały się prawdziwem dobrodziejstwem, bo od czasu jak je zaczęto u nas sadzić, nie znamy tych strasznych lat klęsk głodowych, jakie nawiedzały nieraz Polskę.

Stąd bierzmy naukę, że z pozorów nigdy sądzić nietrzeba, bo pod najbrzydszą powłoką, kryje się nieraz wielka dobroć i prawdziwa zasługa.

J. Bogusz.

Straszne przygody Antka na falach Bałtyku.

(Ciąg dalszy).

— Ja tam wolę zostać na brzegu, rzekł Józio, na piasku, po co mam wchodzić do cudzej łodzi.

— Patrzcie go, jaki surowy, rozśmiała się Tosia, Chojko nam przecie nigdy nie broni wchodzenia do łodzi, mamy na to jego pozwolenie.

— Co tu długo rozprawiać, wołał Antek, boisz się, braciszku, tchórz obleciał naszego Józika.

Józio jeszcze się namyślał i głową kręcił stojąc koło łodzi.

— E, rzekł Tadzio, ja się tam niczego nie boję, jak ginąć, to już wszystkim razem.

— Słusznie, rozśmiał się Antek, i przechyliwszy się z łodzi, złapał Józia za ramiona i wciągnął go do środka. Wesołym śmiechem powitali go tam wszyscy, a Krysia bijąc w dłonie zawołała:

— O, jaką dużą rybę złapał Antek! patrzcie tylko, a czy to szczupak wiślany, czy też jaka morska ryba?

— To nasz wilejski okoń, rozśmiał się Stef, zawędrował tu z pod Wilna, z błękitnej naszej Wilji i oswoić się z morską falą nie może.

— Józio—okoń, Józio—okoń,—żartowali inni i wesoło było na łodzi.

— Wiecie co, powiedziała Tosia, przeźwiemy się wszyscy różnemi rybami i urządzimy grę w ryby.

— Co to będzie za gra? pytał Tadzio.

— Każda ryba, mówiła Tosia, wyzwana przez rybaka, musi opowiedzieć swoją historję, to jest: z jakich wód pochodzi, jak wygląda i t. d. A kto nie będzie umiał nic o sobie opowiedzieć, ten zapłaci fant.

— Doskonale, zawołał Antek, przybywa nam nowa gra, nazwiemy ją morską. A Tosia w nagrodę, że ją wymyśliła będzie się zwała „flondrą".

— O nie, nie chcę, zawołała Tosia, taka szkaradna nazwa, słyszałam, że na brudne, nieporządne osoby, mówią nieraz „flondra", a ja jestem, musicie to przyznać, zawsze czysto i porządnie ubrana.—Będę sielawą.

— A Stef szczupakiem, zawołał Tadzio, i połknie sielawę.

— Nie, rzekł Stef, Poleszukiem jestem, to będę piskorzem, albo jak tam nazywają te ryby, wiunem.

— Widzę, że tu będziemy mieli same ryby słodkich wód, mówił Antek, a ja będę rybakiem, to cóż za pociechę będę miał z tego połowu, z równym skutkiem mógłbym zarzucić swoją sieć do Wilji.

— To ja będę śledziem, zawołał Tadzio.

— Doskonale, zupełnie na śledzia wyglądasz, żartował Stef, prawdziwie lipcowy, tłuściutki, a Krysia będzie łososiem, tym ze złotemi skrzelami, bo ma takie złote włoski. Dobrze?

— Dobrze, dobrze, wołała dziewczynka. A Tadzio?

— Ja będę karpiem, bo znam hodowlę tej ryby.

Role były rozdane i już rybak Antek miał zawołać:—Wyciągam sieć! gdy stała się rzecz niespodziana.

Zajęte zabawą dzieci, zapomniały, że właśnie była to godzina przypływu morza. Fale, uderzyły raz i drugi, i łódź stanęła w wodzie. W tej że chwili zaskrzypiały okowy łańcucha i pękły, jakby przepiłowane niewidzialnym pilnikiem. Fale uniosły ze sobą łódź. Stało się to tak nagle, że nikt z siedzących w niej nie zdołał spostrzec się, aż się ujrzeli na pełnem morzu.

— Co to jest, płyniemy? zawołała Tosia.

Chłopcy z przerażeniem spojrzeli na siebie.

— Wskoczę w morze, zawołał Antek, umiem pływać i pociągnę łódź z powrotem do brzegu.

— Ani się waż, odrzekł Stef, i siebie i nas byś zgubił.

— Toniemy, toniemy! rozpaczliwie wołał Józio.

Krysia skrzywiła buzię w podkówkę, Tosia uspakajała siostrzyczkę, sama jednak była mocno przerażoną.



„Ach jaki dziwny rybak i łódź inna niż wszystkie" str. 248.

— Cicho, Józiu! zawołał Stef, wstydź się być takim mazgajem, niema zresztą nic tak strasznego, z brzegu dojrzą nas rybacy, wyślą łódź ratunkową. Bierz przykład z Tadzia.

— Ja się tam wcale nie boję, a nawet bardzo się cieszę z tej przygody, odrzekł dumnie Tadzio, opiszę ją w swym pamiętniku, a jak będę kiedyś miał dzieci, to im będę czytał.

— Aha, zaraz, mówił zapłakany Józio, będziesz miał dzieci, jak tu utoniesz i rekin cię pożre.

Starsi chłopcy i Tosia rozumieli niebezpieczeństwo i niemniej się bali od Józia, nie mogli jednak tego okazać, by nie przerażać malców. W duszy każde z nich robiło sobie srogie wyrzuty za wejście do łodzi i wprowadzenie tam rodzeństwa. Co będzie, jeżeli ich z brzegu nie dojrzą i nie pośpieszą z pomocą?

Jak długo płynęli, sami sobie nie umieliby zdać sprawy. Może to było tylko kwadrans, może godzina jedna zaledwo, a im się zdawało, że płyną już bardzo, a bardzo długo.

Głód zaczął dokuczać małym, bo starsi zaniepokojeni nie na żarty, zapomnieli o tem, że nadchodziła pora drugiego śniadania, a może już i obiadu.

Szczęściem przezorna Tosia, znając dobrze swych malców, wzięła do koszyczka kilka bułeczek z masłem i szynką. Rozdzieliła więc je pomiędzy całą gromadkę.— Ale Antek i Stef nie tknęli nic, pierwszy szepnął cicho:

— Zostaw to dla nich, któż wie jak długo będziemy jeszcze na morzu.

Stef skinął znacząco głową, więc i Tosia swoją cząstkę włożyła z powrotem do koszyczka. Nagle Stef zawołał: Widzicie, łódź! łódź! ale nikt dojrzeć wskazywanej przez niego łodzi długo nie mógł, bo chłopak miał wyjątkowy wzrok i widział bardzo daleko.

— Płynie, płynie rybak, do brzegu wraca widocznie z połowu — wołał Stef. Ach, żeby mu dać jaki znak!

— Ale jaki dziwny rybak i łódź inna niż wszystkie...— mówił Antek.

Tosia szybko zdjęła jasny fartuszek Krysi, w łodzi był jakiś kij, zrobiono więc naprędce chorągiew i Antek, najwyższy ze wszystkich, wywijał nią, chcąc w ten sposób zwrócić uwagę rybaka, którego już wszyscy widzieli.

— Ohe! ohe! — wołały dzieci z całych sił. A echo im wyraźnie odpowiadało: he! he! Rybak ich nie widział i stała się rzecz dziwna, bo naraz znikł im zupełnie z oczu.

— Co to jest, gdzieżby on był? — pytał zdumiony Stef. Przecież tak wyraźnie widzieliśmy i łódź, i wiosło, i rybaka, a teraz nic, tylko morze gładkie i jasne dookoła.

(C. d. n.).